

BLUSZCZ.

PISMO TYGODNIOWE ILLUSTROWANE DLA KOBIET.

Prenumerata w Warszawie.

We wszystkich księgarniach i kantorach pism peryodycznych po cenie rocznie rsr. 7 kop. 20; półrocznie rsr. 3 kop. 60; kwartalnie rsr. 1 kop. 80; miesięcznie kop. 60.

Prenumerata w Cesarstwie i Królestwie:

kwartalnie rsr. 2 kop. 50; półrocznie rsr. 5, rocznie rs. 10.

Wydawca **MICHAŁ GLÜCKSBERG.**

EKSPEDYCJA GŁÓWNA W KSIĘGARNI WYDAWCY

Ulica Włodzimierska Nr. 4.

W Cesarstwie Austriackim we Lwowie u Gubrynowicza i Schmidta kwartalnie flor. 3; na prowincyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 80.

W Krakowie: u D. E. Friedleina, kwartal. flor. 2 cent. 75 na prowincyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 50.

W W. Ks. Poznańskim: u Leitgebera i Spółn. kwartal. 5 marek.

OD REDAKCYI.

W następnym numerze „Bluszcza“ rozpoczynamy druk nowej powieści

MARYANA GAWALEWICZA

(Autora powieści p. t. **Filistry**)

pod tytułem

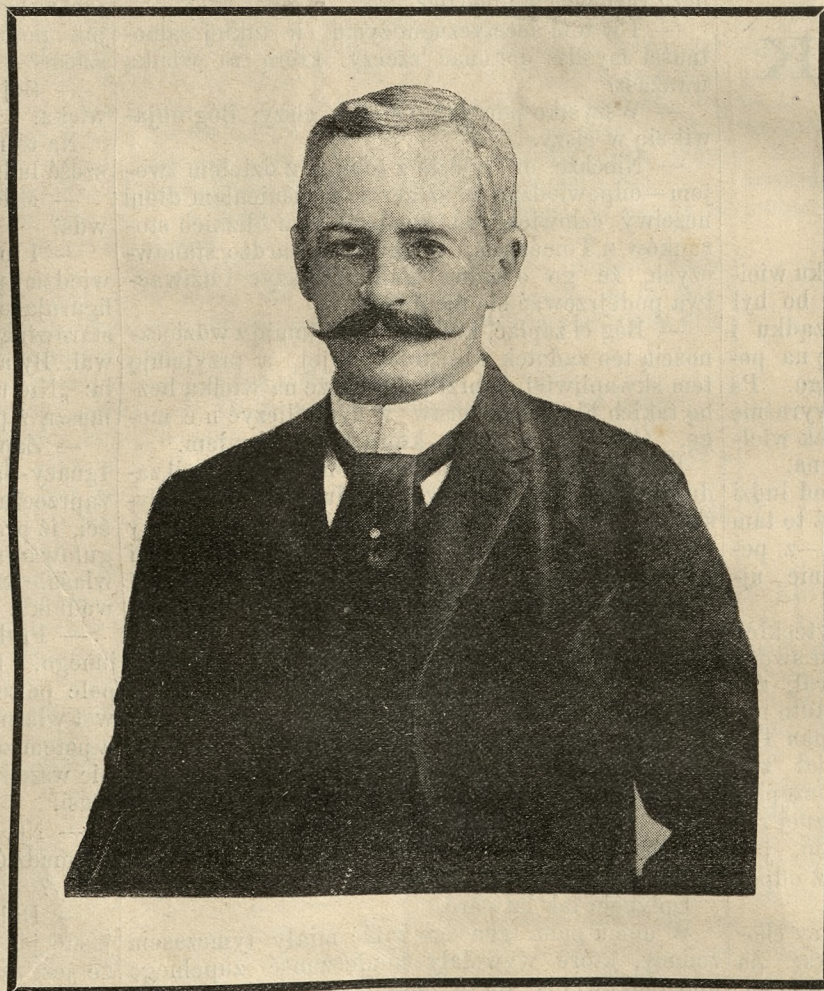
M G Ł A.

Dr JÓZEF STARKMAN.

Nazwisko, które śmierć wykreśliła z listy żyjących nagle i niespodziewanie, znane było czytelnikom „Bluszcza“; podpisywał nim swoje „Kroniki naukowe“ jeden z najlepszych u nas popularyzatorów wiedzy medycznej i higieny, lekarz z powołania, literat z amatorstwa, człowiek cichy, skromny a pożyteczny na swoim stanowisku.

W ostatnim lat dziesiątku spotykało się, szczególnie w „Kurierze Codziennym“, bardzo często nadzwyczaj przystępnie, jasno, zrozumiale a z pewnym nawet humorem, jakby piórem felietonisty z powołania pisywane artykuły w kwestyach na razie najbardziej ogół obchodzących z dziedziny nauk lekarskich; pod pseudonimem Dra Justa pouczał szerokie koła czytelników Dr Józef Starkman o rzeczach specjalnych, które miały związek ze zdrowiem, bezpieczeństwem życia i medycyną popularną. Czytywano to wszystko chętnie, z zajęciem i z korzyścią na razie, bo autor umiał wybierać temata aktualne i opracowywać je z materiału najświeższego.

W ostatnich kilku latach, zmuszony stanem zdrowia swego, od-



Dr Józef Starkman.

sunąć się bardziej od praktyki lekarskiej, więcej czasu poświęcał pisarskim i wydawniczym zajęciom. Po wyjściu pierwszych zeszytów francuskiej Encyklopedyi lekarskiej dla użytku domowego ułożonej przez Dra Pawła Bonami, powziął myśl opracowania takiego praktycznego podręcznika po-polsku i zachęcony przez nieboszczyka Chałubińskiego zabrał się energicznie do wykonania swego projektu.

Spory tom ilustrowanej „Encyklopedyi medycyny i higieny popularnej“ wyszedł zpod jego pióra, a następnie w druku nakładem samego autora.

Oprócz tego od lat kilku zajmował się wydawnictwem Maurycego Orgelbranda, który pod ogólnym tytułem „Leczenie domowe“ puścił w świat dwadzieścia ośm broszur, streszczających w sposób jaknajbardziej przystępny poglądy, zdania, uwagi i rady rozmaitych patologów i terapeutów w przedmiocie chorób, najczęściej dokuczających ludziom.

Znalazły się tedy w tym zbiorze, dobrze wybranym i ułożonym, rozprawy o chorobach płuc, żołądkowych, nerwowych, kobiecych, sekretorycznych, skórnych, zakaźnych i rozmaitych innych, a streszczaniem i opracowaniem dzieł specjalistów zagranicznych zajmował się Dr Starkman, dodając do nich uwagi i spostrzeżenia ze swojej własnej praktyki.

Miał szczególniejszy dar przemawiania do czytelników w sposób prosty i budzący zaufanie; na parę tygodni przed śmiercią wydał małą ale bardzo pożyteczną i ciekawą broszurkę „o Cholerze“, która pod tym względem właśnie stanowiła wzór popularyzowania rzeczy pouczających i praktycznych wśród szerszego ogółu. Ta praca i ciekawy artykuł o „Gymnastyce“, pomieszczony niedawno w „Tygodniku ilustrowanym“, były ostatnimi jego publikacjami. W dalszym ciągu „Leczenia domowego“ przygotował do druku „Ból głowy“ i „Bezsennosć“.

Z usposobienia człowiek cichy i łagodny, uprzejmy i miły w stosunkach towarzyskich, umiał sobie zjednywać przyjaciół i sympaty, zwłaszcza wśród swoich pacjentów; dobre i wrażliwe serce lekarza odczuwało cierpienia i dolegliwości bliźnich, bo samo w życiu na niejedną ciężką i bolesną próbę wystawione było. W numerze 28-m z roku bież. „Bluszcz“ pomieścił wierszowany obrazek nieboszczyka p. t. „Dróznik“, w którym autor z życiowych tragedii odtworzył scenę podpatrzoną z rzeczywistości a odczuta widac głęboko, pomimo epickiego spokoju, z jakim opowiadał o strasznym ciosie ojca, lekarza, padającego ofiarą swojego obowiązku.

Poezya życia i poezya nieszczęścia natchnęły go do tego utworu, w którym po raz pierwszy spróbował pióra w odmiennym dla siebie rodzaju...

Umarł nagle na aneurizm serca, bawiąc w Wohyniu pod Międzyrzecem, gdzie go zatrzymywał obowiązek jego lekarskiego zawodu, a z kąd powrócić chciał właśnie dnia następnego do rodziny i spokojniejszej pracy.

Powrócił, niestety, ale złożony już w trumnie...

Urodzony w Warszawie r. 1847-go, tu kończył studia na wydziale medycznym b. Szkoły Głównej, a na klinikach we Wrocławiu, Berlinie, Wiedniu i Paryżu zbierał doświadczenia, uzupełniając wykształcenie zawodowe zanim w rodzinie mieście stałą praktykę rozpoczął.

Ubył w nim dobry lekarz i dobry człowiek, po którym zostanie dobre wspomnienie i znaczne imię, jako spuścizna dla osieroconej rodziny.

MANIAK

CHARAKTERYSTYKA.

(Dalszy ciąg)

Żył sobie tedy pan Tomasz spokojnie, ku wielmu zadowoleniu zwierzechności swojej, bo był obrazem skrupulatnej sumienności, porządku i akurtności, a to jest wszystko, czego się na podobnym stanowisku od pracownika wymaga. Po paru latach dano mu posadę wyższą, bo wyraźnie był to charakter, na którym w sprawach tak wielkiej wagi, jak na opoce, polegać było można.

Materyalnie był niezależnym zupełnie, od ludzi ani przedtem ani teraz nie stronił, ale już to tam gdzie był zgiełk, zabawa, zbiegowisko,—z pewnością pana Tomasza nieczyje oczy nie ujrzaly.

Jeden z najpoufalszych jego uniwersyteckich towarzyszyw zrobił mu raz z tego powodu swoje uwagi, a że sposób, w jaki się do tego zabrał, żadnej myśli wstecznej nie ujawniał, że nadto nie było tam odrobiny szyderstwa, którego pan Tomasz nadewszystko nienawidził, zrozumiał zatem oryginał, że ta szczerza przyjacielska zaczepka warta pocziwego objaśnienia i kategorycznej repliki, a ponieważ mu jeszcze przytem szło, jak widać, o szacunek tego człowieka, więc też odpowiedział:

— Mój drogi, jednemi drogami wszyscy chodzą, nie mogą, bo to rzecz owcza, nie ludzka. Za oryginalnością ja się z pewnością nie upędzam, a nawet, jeśli ci mam powiedzieć szczerze, to skry-

tym życzeniom moim dogadza najlepiej to, gdy się mną ludzie jaknajmniej zajmują; to też, sam przyznasz, musiałem mieć na względzie, kiedy sobie ten a nie inny tryb życia obrałem, i choć może niegorzej od innych z zadania-bym się wywiązał, nie zostałem ani sędzią, ani adwokatem i moje ze światem stosunki ograniczyłem do minimum w ogóle. Zresztą, jeśli człowiek pielęgnuje w sobie jaką myśl wyłączną, którą za ważną do przeprowadzenia w życiu swoim uznaje, to już obowiązkiem jego jest usunąć się na bok, bo to takich zamiarów i założeń góry całe porożnosili za sobą ludzie w światowym rozgardyaszu, a ja nie chciałem tego na sobie doświadczyć. Mam szczerze i mocne postanowienie umierać z szacunkiem dla samego siebie.

— Mówisz o myśli wyłącznej; wszak ci nie obce losy takich wypielegnowanych w mózgu czy w sercu wyłączności. Życie drugiego to bez liści.

— Wiem to dobrze i powinienś mieć tego dowód w mojej ostrożności. Rozumiem też, że nie trzeba z takimi artykułami kruchemi cisnąć się w ciżbę ludzką, bo się to istotnie tłucze tam bardzo łatwo.

— Pozwól-że mi być natrętnym, choć się prze-mocą w zaufanie twoje wdziarać nie myślę, ale tak sądzę, że mi w zakresie dyskretnych moich pytań cokolwiek tej zasłony uchylisz zechcesz. Czy mniemasz, że człowiek sam ze swą indywidualnością poradzi co przeciwko bezmyślnej gromadzie?

— Nie, ale jeden człowiek może pokazać drogę reszcie i dowieść, co to jest za olbrzymia siła w jednostce ludzkiej, kiedy się ona z więzów zwyczajów, fikcyjnych potrzeb, nałogów i uczuć, nawet samych w sobie szlachetnych, ale zawsze egoistycznych, wyswobodzić zdoła.

— Chcesz dać przykład; czy mam cię uważać za człowieka ambitnego?

— Do tego stopnia jestem daleki od tego uczucia, iż kiedyś, kiedy się już skromne dzieło moje ujął będzie musiał, nie w niem osoby mojej przypominać nie będzie.

— Zagadka prawdziwa! Nie więcej powiedzieć nie możesz?

— Po co? Trud życia jeszcze nie zaczęty, a jeśli się i pocznę, czy da mi Bóg szereg lat życia dość długi, abym go doprowadził do punktu, w którym z niego światło rzucające się ludziom do oczu rozlewać się będzie?

— I w tem ascetycznym życiu, w takiej samotności myślisz dokonać rzeczy, którą za wielką uważasz?

— Wszystko poczynało się w ciszy; Bóg objawił się w ciszy.

— Niechże on będzie z tobą i z dziełem twojem—odpowiedział ze szczerem uściśnieniem dłoni uczciwy człowiek, bo wiedział to z blizkich stosunków z Tomaszem, w chwilach bardzo stanowczych, że go o żadne błahe fantazje i dziwactwa podejrzywać się nie godzi.

— Bóg ci zapłać, kollego! Przyjmuję z wdziacznością ten zadatek dla pracy mojej, a przyjmuję tem skwapliwiej, iż przeczuwam, że na wielką liczbę takich błogosławieństw w życiu liczyć nie mogę. Ciernista to droga, którą sobie obrałem.

Rozstali się.—Kollega pana Tomasza wyszedł zadumany bardzo. Nasz dziwak długo siedział z myślami swymi, ale ktoby bacznie śledził zmiany na tej twarzy ponurej, nie byłby tam dojrzał ani nadziei, ani energii nawet, i tylko jakąś chyba rezygnacją, która się objawiła temi, w samotności wypowiedzianemi, słowami:

„Jednakże jest to sobie Milleneryzm najczystszej wody, ale co tu robić innego? Najcięższem chyba to przypuszczenie, że nikogo ja obok siebie do końca dni moich współpracownikiem nie zobaczę, a co zbiorę nienawiści od bliższych i dalszych, ba, czy nie najwięcej od najbliższych czasem? Niechże to idzie na pożytek, bo niema idei bez ofiar, a to jest sobie idea bądź co bądź, i to weale nie poślednia.“

Upłynęło tak lat parę.

W domu pana Ignacego zajęły tymczasem zmiany, które wywołały konieczność zupełnego uporządkowania spraw majątkowych w rodzinie. Zenił się syn, wychodziła za mąż córka starsza:

trzeba było za życia jeszcze uporządkować mienie, bo i wiek pochyłał ojca coraz bardziej i był on zresztą jednym z tych ludzi, co nie przypadkowi zostawiać nie chcieli, a lękali się najbardziej pozostawić po sobie niechęci i powąśnienia między dziećmi. Zbliżały się ferye, trafiała się więc sposobność wyciągnięcia na odpoczynek przymusowy samotnika z jego kryjówki i powołania do uczestnictwa w obradach rodzinnych nad podziałem majątku i w samych uroczystościach rodzinnych.

Pan Tomasz miał jeszcze niespełna lat trzydzieści, wyglądał jednak znacznie starszej na pierwszy nawet rzut oka, a już co się tyczy zachowania się jego między ludźmi i jawnego, zawsze poważnego kierunku myśli, był człowiekiem starym w zupełności. Nie mniej znać było po nim, że z miłością witał rodzinę a z upodobaniem oglądał ten spokojny zakątek, gdzie mu upłynęło dzieciństwo i młodość; znać było po nim, że z oddali i samotni swojej, często myślą tu uciekać musiał, ale baczny spostrzegacz i to byłby zarówno stwierdzić musiał, że miał on poza tą całą sferą uczuć swój świat wyłączny i myśl odrębną, która go objęła całego w niepodzielne swoje posiadanie. Rodzice nie pozbywali się jednak swoich nadziei co do zwrócenia go na drogę prawidłową w życiu, a za niepoślednią pokusę ku temu uważali one dwa stadła, które się w jego obecności skojarzyć miały. Wszelkie jednak nieśmiały w tym kierunku wycieczki matki zbywał zawsze pan Tomasz jedyną, jaką miał gotową, odpowiedzią: ucałowaniem pokornem jej rąk, ale w spojrzeniach jego tyle było niemej prośby, aby go pozostawiono w spokoju, że ta matka nareszcie zdecydować się musiała na zaniechanie wszelkich prób i namów, w samotnem skarżenia się Bogu jedyną znajdując pociechę. Ojciec, który w sprawach ważnych nieporównanie mniej miał skrupułów i powściągliwości, uznał za stosowne wziąć pewnego razu syna na stanowcze konfessaty, aby, jak mówił, raz już przecie dowiedzieć się, co o tym zagadkowem dziecku trzyma?

Pan Tomasz wywodów wysłuchiwał, niezem nie zaprzeczał, a nie chcąc dopuścić do zławszego starcia się opinii, zamknął się w ogólnikach nieobowiązujących do niczego, ale i niezaprzeczających słuszności wypowiedzianym sentencyom. Nie sądzono mu jednak było tym razem wydobyć się z kłopotu tanim kosztem, bo po wywodach nastąpiły kategoryczne zapytania, z których konkludującem było zawsze jedno i to samo, a mianowicie: jak postanowił życie swoje urządzić na przyszłość?

— Bój się Boga, toż to zwykła droga człowieka!

Na to nie było zaprzeczenia, bo istotnie większość ludzi żeniła się i żeni dotychczas.

— Milczysz? nie masz na to odpowiedzi, prawda?

— I to jest także prawda, i to niezbita—odpowiedział pan Tomasz, wskazując oju dwa wiersze figurujące jako dewiza, na czele książki, którą starowina ze szczególnem upodobaniem odczytywał. Była to praca Supińskiego, a dewiza brzmiała: „Nie umiający pracować i oszczędzać zniknąć muszą z powierzchni ziemi.“

— Zapewne—odpowiedział z wahaniem się pan Ignacy—ale, z przeproszeniem twojem, sam sobie zaprzeczasz, boć to chyba nie podlega wątpliwości, iż przedewszystkiem w tak prawidłowem uregulowaniu życia, jakie daje małżeństwo, można właśnie tę złotą przestrożę łatwiej wziąć za przewodnika.

— Praktyka tymczasem mówi niemal wręcz co innego. Pokazuje się często, że to najmniejsze pole po temu, bo najpierw człowiek połową nawet własnej woli w tym stosunku nie rozporządza, a potem zaciąga się w obowiązki, których spełnienie wszelkie usiłowania pochłonać może, a nawet musi.

— No, to i dobrze, boć dla kogóż oszczędzać i gromadzić, skoro ci o to chodzi, jeśli nie dla rodziny?

— Dajmy pokój w tej chwili dla kogo, choć to jasne jak słońce, ale pomyślmy przedewszystkiem, że jest za kogo, a mianowicie za tych wszystkich, którzy nie chcą, nie umieją, a dużo też jest i takich, co nie mogą; więc jest za kogo, a ponieważ

jest i dla kogo, więc zdać niestrudno już dojść do wniosku o konieczności obowiązku występującego jako zadanie całego życia.

— Zmarnujesz ty na to swoje własne życie, — zmarnujesz. I proszę cię, przypomnij sobie tylko w swoim czasie, że był tu ktoś, co cię ostrzegał. A tymczasem niech o tem między ludźmi, a nawet między nami, mowy już nie bywa, bo też to człowieka podobne maniactwo wcale w opinii dobrze nie stawia. Zrób-że mi tę łaskę i nie produkuj się z tem, bo przysporzyłoby mi to dużo kłopotów i przykrości.

Biedny pan Tomasz, który niezgo więcej nie pragnął, nad pozostawienie go w spokoju z jego sposobem myślenia, przyobiecał, całując ojca w ramię, że mileć będzie odtąd, jak grób.

Tak tedy harmonia jakaś przywróconą została, a matka musiała nazajutrz usłyszeć wykrzyknik, który spadł na nią jak grom z jasnego nieba:

— Maniak był ten twój pan Tomasz od dzieciństwa i maniakiem widać zostanie do śmierci!

Niebawem miał się o tym niezbitym pewnik przekonąć pan Ignacy jeszcze przy innej okazji. Jak wiemy, wezwał on syna nietylko, aby dzielił z rodziną uroczystości podwójnych zaślubin, ale także, aby stał się uczestnikiem majątkowego działu, co do którego niemałe trudności teraz dopiero przewidywać począł. Już ciż z takimi wygórowaniami wyobrażeniami o potrzebie gromadzenia, oszczędzania, bogacenia się mógł Tomasz stać się powodem nader przykrych zawiści i nieporozumień w rodzinie. Zabierał się też biedny ojciec, jak do najcięższego obowiązku, do wyłożenia długo i mozolnie wypracowanego projektu, który lubo sam w swoim sumieniu za najbezsronniej obmyślany uważał, to jednak wobec takiej wyraźnej pożądlivosti grosza, jaką w Tomaszu teraz dostrzegł, mógł się o powodzenie zamiarów swych lękać. — Boć niech tam ludzie deklamują zdrowie i chęć — jak mówił pan Ignacy — o potrzebach społecznych, to wszystkie one piękne słowa kończyć się zawsze będą jednym i temsamem: obłudą lub rozczarowaniem.

Kiedy przyszło już nareszcie do tego, zapytał ojciec kolejno każde z dzieci: czy im się to sprawiedliwym wydaje, co on dla nich w kwestyi podziału majątkowego ułożył? Przedstawił tedy najpierw konieczność i możliwość utrzymania się Henryka przy majątku rodzinnym, wykazywał wartość jego realną, zapas gotowizny, konieczność pozbycia się części lasu, który zbyt wielką wartość przedstawiał, aby się w całości przy nabywcy mógł utrzymać, i towszystko wytłómaczywszy, zaczął zbierać głosy, od najmłodszej córki poczynając, a kolejną ku coraz starszym się zwracał, aż nadto przekonany, że gdy Tomasz do głosu przyjdzie, potrafi swojemi uwagami całą sprawę w odmiennym świetle przedstawić. Niechże usłyszy przedtem przynajmniej głosy młodszego rodzeństwa, a może się choć trochę powściągnie, boć to i wstyd wbrew powszechnej harmonii chęciwość swoje ujawniać.

Jakoż nie zawiódł się pan Ignacy, bo znalazł się ze strony Tomasza protest, którego całe rodzeństwo wysłuchiwało jednak w milczeniu i z approbacją zupełną, ojciec z łatwym do pojęcia zdumieniem, a matka ukradkiem lży obcierała na myśl, jakie też to mogą być w przyszłości losy człowieka, którego intencji, od najbliższych począwszy, nikt nigdy odgadnąć nie umie. Czy odgadawała ona sama zupełnie? — wątpliwości pewne mieć wolno, a czy się w sędzie swoim nie zachwieje nigdy, to już rzecz, której przed końcem tego opowiadania przesądzać nie sposób. Pan Tomasz tymczasem przedstawił ze wszelkimi możliwymi umiarkowaniem i prostotą, że jemu ten sposób pojmowania działu rodzinnego nie wydaje się słusznym, bo jakkolwiek rolnikiem nie jest, to przecież doświadczenie nauczyło go, jak wielu w następstwie wywłaszczeń pierwszą przyczyną były niesłuszne działy rodzinne; że chwilowe wartości w żaden sposób uwzględniane tu być nie powinny, bo ten, kto bierze majątek rodzinny, dźwiga na sobie brzemień i odpowiedzialności moralnej za jego utratę, i nieodłącznego od przedsiębiorstwa tak losowego i zawodnego ryzyka i niebezpieczeństwa, że więc on, co do siebie przynajmniej, głosowałby za zmniejszeniem działu własnego i sióstr, jeżeli się one na

to zgodzą, bo kiedyś musiałyby: mu to na sercu ciężyć kamieniem, gdyby brata w kłopotach, albo, co gorzej, zagrożonego widzieć mieli, że jednym słowem: on proponuje redukcją spłat na korzyść wstępującego w posiadanie, bo — jak mówił — kiedy już wszyscy zaciągniemy zobowiązania inne, nie czas byłby na wynagradzanie krzywdy przez nadmierne obciążenie rządzonej.

— Obowiązek to wielkie słowo — dodał z westchnieniem. — Niechże jeżeli się to z wolą rodziców zgadza, stanie się to teraz, zaraz, póki czas.

Propozycją przyjęto bez protestu, ojciec był uszczęśliwiony, ale...

Cóż, kiedy niema róż bez cierni, bo i pan Tomasz po takim wylewie uczuć braterskich całe dodatnie wrażenie nieopatrznie popsuł i uroczysty nastrój serc niespodzianie zmrozić potrafił.

Potrzebaż też było w samej rzeczy zrobić ten najniepotrzebniejszy w świecie zwrot na końcu do rodziny, jaki się wyrwał panu Tomaszowi!

— Moją najmiłszą! Kiedy nas już praca i szkodliwostwo ojcowiska tak hojnie obdarowała, używajmyż tych darów z powściągliwością i umiarkowaniem. Nie zapominajmy, że straszną rzeczą jest ruina wszelka, a i materyalna także. Co do mnie, jeśli mi wolno, jako najstarszemu z was, słowo tutaj powiedzieć, to wyznaję, że zła materyalna w przyszłości pozycya wasza wyjątkowo byłaby mi bolesna, bo ku ulżeniu potrzebom własnego serca nie dla was uczynić-bym nie mógł. Bolesne mi jest co mówię, ale chciejcie uwierzyć, że koniecznie potrzeba mi było powiedzieć to wam.

Zimno jakieś powiało po zgromadzeniu, a wrażenie, choć sobie go nikt jasno nie sformułował, przykrem było całkowicie, bo to jakies zajęcie odrębnego stanowiska wśród swoich i ostrożne wyosabnianie się od współdziału w przewidywanych złych losach najbliższych, koniecznie ujemnie oddziaływać musiało. Nie omieszkał też pan Ignacy powiedzieć żonie znowu kilku słów przykrych, o tyle przykrejszych, że i ona nie w tej chwili na odparcie ich nie odpowiadała.

— Im dłużej na niego patrzę, tem dziwniejszymi jest i mniej zrozumiałymi. Szczególny człowiek! Dla czego on się tak obwarowywa przeciwko domniemanym nagabywaniom rodzeństwa? Jeszcze tu przecież do dobrodziejstw jego nikt nie potrzebuje. Co było dobrego w początku, popsuł na końcu! Maniak!

Matka mileżała, a między młodymi szybko zatarło się to wrażenie niechęci; serea młode pamiętają tylko to, co dobre, a tu intencji Tomasza najszerzych mieli przecież dowody niezbite.

Henryk nawet wyjątkowo serdecznie traktował brata, a upojony już teraz faktycznym posiadaniem majątku, który nad wszystko, co znał dokoła, był mu miłym, chodząc nazajutrz po polach z Tomaszem, przystanął nagle i, ukazując mu łany, wśród których szli ku domowi, odezwał się:

— Patrzaj, bracie, bądź co bądź, to potęga ta ziemia.

— Potęga jako źródło wielkiej miłości, sama w sobie nie potęga, choćby dlatego, że ta właśnie miłość najbardziej w trudnych godzinach krępuje.

— I cóż jest potęgą, jeśli nie ona?

— To co wielu chwilowo uznaje za potęgę — pieniądź.

Z lekceważeniem kiwnął ręką brat młodszy, a chwili namysłu z pewnym przymusem zapytał:

— I zkadże tobie tak nagle przerzucić się przyszło w drugą ostateczność?

— Pozornie rzeczy bierzesz, Henryku. Ja tej potędze nie holduję, ani myślą, ani uczynkiem, ale ją uznaję, ponieważ ona jest, a ignorować ją mógłby ktoś tylko, coby miał na zawołanie potęgi duchowe do zwalczania jej odpowiednie.

— Więc tak wbrew temu, co uznawałeś niegdyś z całą dobrą wiarą, czy tak?

— Nie tak, mój bracie, ale inna rzecz myśl, choćby najszczytniejsza, a inna wcielenie jej w życie. Idee mają swoje materyalne środki niezbędne ku ich urzeczywistnieniu, a kto inaczej na rzeczy patrzy, ten jest marzycielem niepoprawnym. Sztukę całą stanowi wytrwanie na obranej drodze.

Zamyśleni, powrócili do domu: zdaje się jednak, że o sto mil byli od siebie w tej chwili. Henryk z wyciągniętymi ramionami biegł w przy-

szłość pełną barw i światła; jego brat widział przed sobą drogę ciernistą i długą, która w dodatku prowadziła przez pustynię. Zbroić się na nią potrzebował, zbroić postanowił od dnia jutrzejszego. Odkładać nie lubił ten człowiek. Był też bardzo ugruntowanym w rzeczach religii dotyczących i, jak mówił, pierwszorzędnym zadania swego życia musiał zawsze opierać o te wyżyny. Był u spowiedzi dnia następnego, a obecni w kościele ze zdziwieniem przyglądali się aktowi temu, tak długo się przeciągającemu, że i jawno grzesznikowi jakiemuś mogło być tego wystarczyć. Dziwiono się bardziej jeszcze, przypatrzawszy się starcowi wychodzącemu z konfessyonału; był on nieledwie bardziej od samego penitenta wzruszony.

Pan Ignacy, jakoś tem wszystkim dziwnie zaniepokojony, zrobił przy obiedzie, na którym był proboszcz, jakąś wzmiankę z okoliczności nadchodzącego ślubu córki.

— Różne bywają śluby — pomruknął, jakby sam do siebie, spowiednik Tomasza.

Gdy się oboje rodzice tylko i starszek sami znaleźli w pokoju, a pan Ignacy, robiąc aluzję do przypuszczalnych wpływów na umysł jego najstarszego syna, napomknął, jakby to dobrze było, gdyby ktoś postanowieniu celibatu u Tomasza zwalczać usiłował, starzec odpowiedział całkiem stanowczo wbrew zwyczajowi swemu.

— Nie mam zamiaru zwalczać żadnego z postanowień pańskiego syna.

Brzmiała to jakoś tak niezwykle, że panu Ignacemu wydało się koniecznem coś jeszcze potem powiedzieć.

— A jednak ja tracę ufność, gdy widzę, że się tak coś anormalnie w życiu człowieka układa.

— To bieda, że niedobrze wiadomo co anormalne, a co normalne.

— Zawsze to tam te skryte źródła dosyć mętne być muszą — dorzucił przekornie pan Ignacy i zdaje się rozmyślić.

— Dajmy temu pokój — odpowiedział starzec, pośpiesznie szukając czapki, w obawie także, aby go do muru nie przyparto.

— To tylko jegomości powiem, że nienfność i podejrzwanie cudzych intencji — to także grzech, i nie powszedni wcale, a co się tyczy onej czystości źródeł, z których ludzie czerpią swoje natchnienia, to daj Boże, aby więcej takich źródeł i takich postanowień było na świecie; że mi zaś w tej materii ani słowa więcej powiedzieć nie wolno, więc do nog upadam i służby moje polecam.

Matka posłała mówiacemu spojrzenie dziękczynne; ojciec, przeciwnie, markotny był i chmurny, bo i zagadkowości w ogóle nie lubił i bolało go też to, że kto inny, a nie on, jak się to z prawa należało, zażalenie całkowite syna posiadał.

Nie wiedział p. Ignacy, że starzec był tylko pośrednikiem i właściwie mówiąc, jeśli była tajemnica — to między Bogiem a panem Tomaszem.

(Dalszy ciąg nastąpi).

List z Włoch.

D. 19-go Września.

Kto chciał zaznać wrażeń takiej chwili, w której tysiące tysięcy serc uderza razem pod siłą jednego uczucia, przenika się zapalem jednego uniesienia, powinien był znajdować się w Genui na uroczystościach Kolumba w czterechsetną rocznicę odkrycia Ameryki. D. 8-go Września, o godzinie 6-ej rano, podosta, to jest burmistrz miasta, powitał w odezwie ogłoszonej i rozlepionej po rogach ulic floty wszystkich narodów, przepełniające malownicze półkole zatoki genueńskiej. O godzinie ósmej rano sygnał portowy dał znać o ukazaniu się jachtu królewskiego Savoia, na którym król Humbert przebywał w towarzystwie królowej Małgorzaty, księcia Neapolu i hr. Turynu, a jaka to była chwila, wypowiedzieć trudno! Olbrzymia

kotlina portowa, otoczona od wschodu i zachodu olbrzymim wałem gór, przedstawiała oczom jednę, zbitą masę ludzi, rozentuzymowanych, wydających gorące okrzyki, gdy tymczasem sześć pancerników wypłynęło naprzeciwko królewskiej pary, której statkowi towarzyszyły trzy wielkie pancerniki i siedm krzyżowców torpedowych.

Gdy jacht królewski zbliżył się do portu, wszystkie okręty obcych narodów, stojące tu na kotwicy, wywiesiły flagę włoską, setki marynarzy pozdrowiły z ich pokładu zbliżającą się parę królewską, a baterie fortu San Benigno odpowiedziały wdzięcznie za to uczczenie monarchy włoskiego, którego statek posuwał się powoli wśród okrzyków ludu, wśród dźwięku dzwonów, bijących z wież wszystkich kościołów Genui. Yacht królewski przybił do bulwaru Kolumba, gdzie prefekt i podesta, to jest burmistrz miasta, przyjęli przemową powitalną parę królewską, która w towarzystwie obu młodych książąt udała się do Palazzo Bianco przy Via Balbi, z którym połączono wytwornymi galeriami pałac syndyka Genui, oraz ratusz.

Nazajutrz kommandanci wszystkich eskadr zagranicznych złożyli wizytę królowi, który tegosamego dnia rewizytował wszystkich na ich okrętach, posługując się jachtem swoim Savoia, eskortowanym przez trzy pancerniki włoskie, a jak to wszystko odbywało się uroczystie i wspaniale — opisać trudno. Poprzednio już, o wczesnej godzinie poranku, bo o godzinie 9-ej, król mając ze sobą królową, księcia Genui, księcia Neapolu, i hrabiego Turynu zwiedził wystawę włosko-amerykańską, otwartą dnia 5-go Sierpnia a przedstawiającą się bardzo okazale. W oddziale missyi katolickich powitał parę królewską bardzo uroczystie i bardzo serdecznie arcybiskup Reggio, bo mimo smutnej kwestyi, wskutek której Leon XIII-ty zowie się więźniem w Watykanie, wszystkie serca ludzi kochających włoską swoją ojczyznę czezą w królu Humbencie syna Wiktora Emmanuela, a trzeba tu dodać, że Papież napisał świeżo wspaniałą piękną encyklikę o nieśmiertelnym podróżniku, zatem wszystkie uroczystości na cześć Kolumba otrzymały jakoby sankcyę Kościoła. Na wstępie do wystawy zwraca uwagę olbrzymie jaje, zbudowane bardzo misternie a zowiące się jajem Kolumba na pamiątkę znanej legendy; jaje ma 25 metrów obwodu, jest to przecieź niestosowną rzeczą, że rozgościła się w nim restauracya. Sztuczka to jest amerykańska.

Wieczorem było przedstawienie galowe w teatrze Carlo Felice, oświetlonym wspaniale, a trzeba widzieć czarowne efekta iluminacyi włoskich, aby wiedzieć, jaka to była gra światła i jak na tem tle odbijała zgromadzona tam publiczność, złożona z najdosłojniejszych osób, jakie mieściła w sobie Genua. Obok pań, strojnych po-balowemu, lśniących od klejnotów, jakie tylko we Włoszech w rodzinach starej arystokracji tamtejszej widzieć można, łoże były zajęte wyłącznie przez cudzoziemskich dostojników, włoscy zaś dygnitarze zasiedli parter. Publiczność, a trzeba dodać, że zjechano się tu ze wszystkich prowincyi Włoch, mieściła się już na najwyższych galeriach, płacąc po dwadzieścia, dwadzieścia parę lirów za miejsce odpowiadające naszemu paradyżowi. W miarę przybywania admirałów i w ogóle wyższych oficerów marynarki zagranicznej, publiczność włoska witała ich powstaniem z miejsc i oklaskami, aż przybycie pary królewskiej dało ujście zapalowi, który weszła we wszystkich piersiach, bo tak król Humbert, jak królowa Małgorzata są gorąco kochani przez naród cały, czczący w nich godnych następców *Il Re Liberatore*. Wszystkie damy powstały z miejsc, powiewając wytwornymi chorągiewkami o trójbarwach włoskich, na których lśnił złotem lity napis: „Viva Cristoforo Colombo“... a choć może się on zdawać obcemu czytelnikowi mało logicznym, nie był on takim dla rozentuzymowanej publiczności włoskiej. Kolumb żył w tej chwili w sercach wszystkich Włochów i cudownie piękny był to widok takiego zjednoczenia się wszystkich serc i umysłów wobec wspomnień przedwiekowej chwały, przedwiekowego tryumfu syna ziemi włoskiej.

Było to przecieź początek dopiero — wstęp do uroczystości, jakie niósł za sobą dzień następny. Muncypalność Genui dała bal tak wspaniały, że widz

olśniony mógł marzyć o zaczarowanym pałacu Aladyna. Zaproszono na ten bal przeszło 3.000 osób. Starożytne, wspaniałe bogate, wspaniałe piękne sale ratusza zostały połączone przepyszniemi galeriami z salonami pałacu Tursi z jednej, pałacu Bianco księżny de Galiera z drugiej strony, a ogród pałacu podesty, to jest ratusza, został przemieniony w ogromny, światłem elektrycznym czarodziejsko oświetlony salon. Już to Włosi mistrzami są w sztuce illuminacyi, w sztuce dekoracyi. Wielka sala pałacu Tursi, wybita złotym adamaszkiem i zdobna przepyszniemi mozaikami, przedstawiającymi sceny z życia Kolumba i Marka Polo, płonęła cała w świetle pięciu ogromnych pajaków elektrycznych, gdy następne dwa salony przykuwały do siebie wzrok znawców przepiękniemi freskami staremi, w dalszych zaś salonach rozwieszono na tle złotogłowa wspaniałe gabeliny. Galeria, jak z *Tysiąc Nocy i Jedna*, wydająca się przecudną aleją gaju drzew kameliowych, wiodła do pałacu podesty, to jest do ratusza, gdzie, przebywszy wspaniałe arkady, udrapowane falami błado-błękitnych, miętko się układających jedwabi, z rzędami białych posągów ze stron obu, wstępował gość oczarowany do przeogromnej sali balowej.

Tysiąc świec jarzących, wyraźnie tysiąc, płonęło tu w przepysznych pajaku o pięciu ramionach, a gdy gość oczarowany, olśniony tem światłem, przebył jeszcze galerią wiodącą go z kolei do pałacu Galiera, znalazł w rozwartych przed nim salonach przedziwną jakąś wystawę starożytności w srebrach, bronzach, marmurach, w koronkach, niemających już ceny, aby obok wzrok jego spotykał aredyziela Murilla, Salvatora Rosy, Gwidona Reniego, Caravaggio. Dodajmy sobie do tego wyobraźni siedmset najświetniej strojnych kobiet i dwa tysiące mężczyzn w ubiorach dworskich, w mundurach galowych, a zrozumiemy jaki to był obraz świetny, zwłaszcza w chwili, gdy królestwo przechodzili przez wspaniałe te salony środkiem szpaleru, utworzonego z gości, a królowa, podawszy w końcu rękę podeście, stanęła na czele tworzącego się poza nią kadryla.

Było to d. 9-go Września; nazajutrz, d. 10, rozpoczęły się przyjęcia w zamku królewskim a o godzinie piątej po południu korowód historyczny, przedstawiający powrót Kolumba, przeciągnął wspaniale przez ulice jego rodzinnego miasta. Tworzyło go 828 osób jezdnych, pieszych, zbrojno z paziami, giermkami w paradnych strojach włoskich i hiszpańskich z XV-go wieku, z całym malowniczym czasem tych przepychem. Ludy odkrytej przez Kolumba Ameryki dziecy synowie drugiej półkuli świata nieśli płody swej zaocennej ojczyzny; owoce, kwiaty, gałęzie drzew, jakich nie posiada Europa, obok tego małpy, papugi, świetnie ubarwione ptactwo i nieznane dotąd Europie zwierzęta, wreszcie środki tego rydwan, przedstawiający allegorycznie tryumf Hiszpanii, która podała rękę pomocy geniuszowi wielkiego człowieka w chwili, gdy król Ferdynand i królowa Izabella, otoczeni świetnym dworem dostojnych grandów i hidalgów, przypuszczają Kolumba przed oblicze swoje.

Całość tego pochodu była tak świetną w obrazowości swej bogatej, że żaden opis, choćby najściślej wierny, oddać tego nie może. Wieczorem odbyło się u dworu wspaniałe przyjęcie: biesiada, na której znajdowali się wszyscy admirałowie flot, biorących udział w uroczystościach, ciała dyplomatyczne, wiele urzędnicze korony, oraz arcybiskup genueński Reggio, i to na rozkaz Leona XIII. Najpiękniejszą przecieź i dodać można: czarownie pięknym, momentem tych wszystkich uroczystości był wieczór d. 12 Września, gdy po zanurzeniu się słońca w morze, cała zatoka genueńska zajaśniała w blaskach niedającej się opisać iluminacyi. Porankiem dnia tego król Humbert w towarzystwie książąt krwi i wszystkich ministrów państwa odwiedzał stojące w porcie okręta państw obcych, paradnie udekorowane, szumiące lasem flag i witające dostojnego gościa grzmiotem dział, któremu odpowiadały salwy baterii włoskich z San Benigno. Trwało to niemal dzień cały, bo od 10 god. rano aż do zachodu słońca; w chwili gdy zapadło, aby świecić tej drugiej półkuli ziemi, której odkrycie przez białego syna

Europy właśnie obchodzono — cała Genua od brzegów morza, aż do wyżyn, wyniosłych na 500 do 600 metrów, na których wznoszą się strzegące jej forty, stanęła w blaskach, w promieniach strzelających snopami światła, wśród którego jasności rysowały się, dając złudzenie czegoś czarodziejskiego, kontury świątyń, pałaców, zamków średniowiecznych. Laurowe, oliwne, cytrynowe gaje sadów, ogrodów, spuszczaających się z gór ku zatoce, kapały się w tem świetle, gdy fale wód zatoki, odzwierciedlając je, stawały się jakoby morzem czarodziejskich blasków, wśród których okręty flot zagranicznych, również całe świetlane, rysowały się jak zjawiska czarodziejskie, ponad któremi księżyc rozlewał swoje łagodne, srebrne światło, wytwarzając kontrast dziwnie uderzający wyobraźnią. Tam w górze ponad człowiekiem, nad nigdy nie odpoczywającym ruchem jego prac, żądz, zabiegów, wiekuisty spokój i wiekuiste piękno — światło, rzucające nam dobroczynne blaski swoje.

Wyścigi na łodziach w zatoce genueńskiej tworzyły też jeden z bardzo malowniczych obrazów. Nagrodą dla zwycięzcy była złota, bardzo kosztownie rzeźbiona, starożytna czara, klejnot ze skarbcu królewskiego, który mógł nęcić współubiegających się zapasników. Nęciło tu przecieź wszystko: ta zatoka wód szafirowych, otoczona jakgdyby żywymi wzgórzami, bo tysiące ludzi oblegało ich skłony i szczyty, te łódki, baciki arystokracji włoskiej, rozproszone wzdłuż wybrzeży — wszystko to podniecało zapasników. Tryumf najwaleńszy odniosła łódź francuzka, po niej łódź miasta Turynu, dalej łódzie włoskie, belgijskie, otrzymały nagrody, i tylko Hiszpania pozostała w tyle. Z kolei przyszły zapasy atletów *vel* gymnastów, i do wielkiego turnieju, do „Turnieju Kolumba“, stanęło 40 towarzystw gymnastycznych, wśród których brała udział i Szwajcarya, sławna z krzepkości synów swoich, których rozpoznawać było można zaraz po wysokich kapeluszach z różą alpejską, a więcej jeszcze po śmiałym, zręcznym ruchu, który wyróżniał w męskiej swej śmiałości współziomków Tella. Piękny to był widok, gdy wszystkie te towarzystwa gymnastyczne szły rzędem złożone wieniec i schyliły sztandary swoje przed pomnikiem Kolumba. Wdzięczni za braterskie, serdeczne przyjęcie ich przez towarzystwa włoskie, ofiarowali im na pamiątkę czarę srebrną — z kształtu róg alpejski, kunsztownie cyzelowany.

Był jeden jeszcze turniej: zapasy gitarzystów i mandolinistów, gdzie już nikt obey nie stanął do popisu. Mandolina, instrument wyłącznie włoski, bo nieznany w innych krajach, wydaje dźwięki podobne do słodkiego, łagodnego głosu ptasząt śpiewnych i czasem staje się skowronkiem, czasem słowikiem. Medyolan jest stolicą tego instrumentu, gdzie też znajdują się i kompozytorowie, poświęcający mu natchnienie swoje. Gitara nie przestała też być ulubionym instrumentem Włochów i popisy na gitarze, na mandolinie, tak zajęły publiczność genueńską, tak nawet rozbudziły jej zapal, że koncerty, dawane na tych instrumentach, były zawsze przepełnione, aż do ścisiku, a występowały w nich artyści wszystkich wielkich miast włoskich: Rzymu, Florencyi, Medyolanu, Werony, Turynu i Genui. Medyolan wystąpił z dziełem kompozytora Graziani'ego: „Dante e Beatrice“. Mikołaj Massa, twórca opery „Salambo“, skomponował znakomity w swoim rodzaju utwór muzyczny na ten instrument „Amor e Luna“. Istnieje też przepisana przez niego na ten instrument „Serena-da“ Schuberta, i dziwić się można, że mandolina nie upowszechnia się podobnie poza Włochami — że panie nie odejmą się trochę fortepianowi na korzyść tego wdzięcznego instrumentu. Popis mandolinistów wypadł tak, że przyznano tu dwa wielkie medale złote, z których jeden otrzymała Florencyja, drugi dostał się Medyolanowi. Rzym z wyborną orkiestrą swoją mandolinistów, obejmującą przeszło pięćdziesiąt osób, otrzymała nagrodę drugą, Genua wzięła trzecią, czwarta dostała się Weronie.

W teatrze tutejszej opery już rozpoczęły się próby utworu wielce cenionego kompozytora Franchetti: „Krzysztof Kolumb“. Pierwsze przedstawienie będzie danem już w Październiku. Na konkursie, ogłoszonym przez wydawcę medyolańskiego Sonzogni, na jednoaktową operę, pierwszą

nagrodę otrzymał Benvenuto Coronaro z Vicenzy; tytuł jej jest „Feste Marino“ (Uroczystość żeglarska).

W czasie tych radosnych dla narodu włoskiego uroczystości poniósł on wielką stratę: odszedł go na odpoczynek wiekuiasty jeden z towarzyszy trudów Wiktora Emmanuela — jeden z tych, których meztwo szlachetne, szlachetna siła woli dała Włochom możność używania dzisiejszego stanu pokoju i szczęścia ciego. Generał Cialdini, książę Gaëty, zamknął oczy w Livorno śmiercią spokojną i chrześcijańską, opatrzony na drogę wieczności sakramentami świętymi. Był to już mąż sędziwy, bo urodzony w 1811 w Cestelvetto, w górnych Włoszech; naukę pobierał w Parmie, na wydziale filozoficznym. Gdy w 1831 r. miasto to chciało się pozbyć rządów księcia Modeny, Franciszka IV, wskutek zamieszek, w których brał udział, został z miasta wydany. Skończywszy studia uniwersyteckie w Paryżu, a trzeba dodać, że tu słuchał medycyny, nie wiedząc jaki obrót wzięć może jego życie. Przecież powołanie, które sobie obrał, nie odpowiadało charakterowi, nie odpowiadało marzonym celom jego życia, więc, zmieniając postanowienie wyjechał z Francji, wszedł do wojska portugalskiego, walczył pod sztandarem króla dom Pedro, aż ruchy włoskie w 1848 r. kazały mu tu wracać, gdzie też wkrótce został pułkownikiem. Ranny pod Vicenzą, został wzięty przez Austriaków do niewoli; przecież znajdował się znowu w bitwie pod Novarą, walcząc przeciwko Radeckiemu. W 1855 r. dowodził pułkiem wojsk Wiktora Emmanuela; w czasie kampanii włoskiej 1859 r. już stał na czele dywizji, przyczyniając się nie mało do zwycięstwa Włoch pod Castelfidardo, aż wkrótce za wielkie dla Włoch zwycięstwo — zdobycie Gaëty, został marszałkiem i księciem Gaëty. I później już, gdy Włochy spokojne były i szczęśliwe, stał wiernie przy dynastji sabaudzkiej, przy idei, którą ona przedstawia, jak obecnie w osobie króla Humberta; posłował we Francji, aż śmierć przyszła zamknąć oczy, które patrzyły zawsze w prawą stronę życia, dlatego też trumnę jego otoczyły tłumy wielotysięczne i wszyscy starzy weterani — starzy towarzysze prac jego, szli za nią z odkrytymi głowami o siwych już włosach.

W Genui zgromadziło się też w tych czasach wielu uczonych ludzi, których pociągała tam inna jeszcze sprawa, niż święto Kolumba: kongres botaniczny, który się zebrał niemal jednocześnie z uroczystościami wielkiego odkrywcę. Król Humbert bardzo usilnie pragnie, aby Włochy odzyskały dawne stanowisko przodowania narodom w nauce, w sztuce, i rzymska galerya nowożytniej sztuki z bogactwem się corocznie zakupami, które rząd czyni. Obecnie ministerium oświaty nabyło za 22.000 lirów dla rzymskiej galeryi nowożytniej sztuki znakomity, według zdania znawców tutejszych, obraz Scypiona Vanutelli: „Pogrzeb w Weronie“ to jest pogrzeb Julii, kochanki Romea, oraz dwa obrazy: „Matka Boska ze ŚŚ. Bonawenturą i Franciszkiem“, nieżyjącego już w chwili, gdy to piszę, malarza Aloizego Serry za 6.000 lirów, i scenę rodzajową z życia ludu sycylijskiego, Giulio Lajace. Malarz ten ma właśnie na palecie wielki obraz: „Wybuch Etny“ której tegoroczne wylewy lawy mogły rzeczywście natechnąć artystę — ale artystę w wyższym tego słowa znaczeniu, takie to były wspaniałe groźne tragedie natury. Obecnie już wybuchy płomieni są mniejsze, lawa płynie nie tak wielkimi potokami i nie jest tak gorąca,

do czerwoności rozpaloną. Ludność przestraszona nie śmie przecież dowierzać starym Wulkanowi, w którego ten lud, od wieków chrześcijański i gorąco pobożny, wierzy dotąd, tylko zrobił go sobie z bożka dyablem.

Każdy „cicerone“ powie ci to samo, i kto lubuje się w fantazji rodziwej tego ludu z przechowanymi dotąd tradycjami mitologicznymi, ten nie straci czasu, słuchając jego opowieści. Że przecież obok tego obdzierano podróżnych bez miłosierdzia, władze wydały przepisy. Każdy „cicerone“ obowiązany będzie do złożenia przed kommisją pewnego egzaminu, co do wiadomości posiadanych, i nie wolno mu będzie brać więcej nad taxę przez magistrat oznaczoną. W Rzymie za pierwszą godzinę ma o prawo żądać zapłaty 3 lirów, za wszystkie następne po 2 liry; jeżeli przecież, czytelniku mój, uczuwasz czasami choć tęsknotę widzenia rzeczy wielkich, pamiątek wiekopomnych, jeżeli pragniesz uczuć ten dreszcz, który przenika wobec relikwii bohaterskich czasów, bohaterskich ludzi,



Berta Honorata Palmer.

kiedy nie było na świecie filistrów — przyjeżdżaj tutaj i nie targuj się z ciceronem swoim.

August.

DZIAŁ PRACY KOBIECEJ

na wystawie Wszechświatowej w Chicago.

Przyszłoroczna wystawa w Chicago zapowiada się nierównie świetniej i wielostronniej aniżeli wszystkie dotąd wystawy w zakresie prac i wyrobów kobiecych.

Amerykanki zawczasu hartowane do samodzielności, przywykły udawniać czynem wrodzoną im energią i odwagę. Ambicya i gorąca żądza

chwały posuwa je naprzód, a śmiała przedsiębiorczość pobudza do coraz nowych projektów. Obok tych warunków posiadają one jeszcze nieoceniony dar wytrwałości i umiejętnego wykonywania praktycznie i rozumnie obmyślanych planów.

Pod tarczą zatem owej wytrwałości i energii oddział prac i wyrobów kobiecych na wystawie w Chicago przedstawi w sposób poglądowy i treściwy wszystko co tylko najdoskonalszego, może wykonać kobieta w zakresie pracy ludzkiej.

Bez wątpienia dział ten wszechświatowej kolumbijskiej wystawy będzie jednym z najbardziej ciekawych i pouczających.

Panie, stojące na czele wzmiankowanego oddziału, przejęte są gorącym współczuciem dla tej licznej rzeszy sióstr swoich, które po większej części żyją w niedostatku dla braku odpowiedniego zajęcia, lub trudności zbycia swojej pracy. Dążeniem komitetu jest polepszenie bytu kobiet pracujących, zachęcenie mniej odważnych na tem polu i wskazanie możliwego zajęcia w walce życia o chleb powszedni oraz w walce równouprawnienia z silniejszą połową rodu ludzkiego.

Trudy i usiłowania, podjęte przez panie należące do komitetu wystawy w celu przeprowadzenia swoich pomysłów są pod każdym względem godne podziwu i uwielbienia. Pomiedzy niemi pierwsze miejsce trzyma prezesowa komitetu, pani Potter-Palmer, która rozwinęła w tej mierze zadziwiające zdolności organizacyjne.

Pani Berta Honorata Palmer, żona znanego właściciela hotelu w Chicago, łączy w sobie wraz z gruntownym i wszechstronnym wykształceniem, umysł bystry i przenikliwy, oraz pewność siebie, takt i godność w postępowaniu. Wyjątkowe te zalety zrobiły z niej idealną przewodniczkę tak trudnego przedsięwzięcia.

Pani Potter-Palmer odbyła w zeszłym roku podróż po Europie i potrafiła zainteresować dla sprawy kobiecej najczynniejsze i najbardziej wpływowe koła we wszystkich prawie krajach europejskich.

Wspaniałym jest pałac kobiecego oddziału przemysłu i pracy, zbudowany w stylu renesansu włoskiego, podług planu panny Zofii Hayden, architekta z Bostonu. Liczne malowidła, rzeźby na kamieniu i drzewie — wszystko ręką kobiety wykonane, zdobią jak nazewnątrz tak i nawewnątrz piękną tę budowlę. Podczas gdy prace i wynalazki kobiece, czysto technicznej i przemysłowej natury, umieszczane są obok prac męskich tegoż samego zakresu w przeznaczonych na to oddziałach — pałac wystawy pracy i przemysłu kobiecego, gromadzi imponujące okazy geniuszu płci pięknej, jak: utwory pendzla i dłuta, dzieła treści literackiej, a niemniej dowody znakomitego postępu kobiecego na polu wychowawczym i humanitarnym.

Na szczególną wzmiankę zasługuje wzór ogródka dzieciennego, systemu Fröbela, co, jak wiadomo, stanowi integralną część amerykańskiej szkoły ludowej. Niemniej zajmującym jest wzorowo urządzony szpital, wyłącznie kierowany przez doctorki i obsługiwany przez doświadczone dozorczynie chorych. Oprócz tego, wystąpi mnóstwo kunsztownych i artystycznych robót, jak: hafty, rozmaitego rodzaju koronki, i t. p. Obok tych okazów stanie ciekawy dział historyczny starożytnych ubiorów; dalej roboty wykonane igłą, starożytne srebrne naczynia, antyki, klejnoty, i ścisły statystyczny wykaz spożytkowania sił kobiecych roboczych, w handlu i przemyśle.

Komitet bacznie zwraca uwagę na dział wygody

publicznej „public comfort“, a mianowicie na zorganizowanie miejsc wypoczynku i schronienia dla kobiet, dzieci i starców. Ogólne wzbudza zajęcie pałacyk dziecinny z przynależnymi doń placami do zabawy i ochronka dla małych dzieci (baby).

Filantropijna działalność damskiego komitetu, gorliwie spełniając swoje obowiązki, znakomitą położyła zasługę przez urządzenie dla osamotnionych kobiet zwiedzających wystawę—domu nazwanego „Women's Dormitory“ (sypialnie dla kobiet). Obszerny ten gmach, urządzony według wszelkich towarzyszących wymagań komfortu, zaopatrzony w bibliotekę, czytelnię, i t. p., pomieścić może około pięciu tysięcy kobiet, za opłatą 30 cent. dziennie od osoby.

PRZEGLĄD TEATRALNY.

CXI.

Debenty. Pełna sala na *Miłość ubogiego młodzieńca*. Panna Irena Horvath jako Henryka. Pan Bolesławski i panna Wiktorya Szymanowska. *Marcowy kawaler* przed dwudziestu laty. Pani Marya Paprocka jako Pawłowa.

W udratyzowanej powieści Oktawiusza Feuillet *Miłość ubogiego młodzieńca* wystąpiły aż dwie debutantki: panna Irena Horvath — *nom de guerre* — i młodzieńca p. Wiktorya Szymanowska — nazwisko prawdziwe. Publiczności zebrał się nadspodziewanie tłum, zupełny tłum. *Miłość* ją przyciągnęła, — przeważały kobiety — Feuillet czy debiut? — wszystko potrosze. Bywają ańsze ponęty. Młodzieńca ubogi wprowadził nie nęci, ale zakochany a ubogi jest interesującym. Znajomych już sztukę mógł Feuillet pociągnąć niezwykłym, silnie zarysowanym stosunkiem serc ludzkich. Jest tu i melodramat i tragedia, i dramat czysty i komedia — a we wszystkim jest francuzki duch życia. Nie daje nam to jeszcze utworu wyższej wartości, ale zajmuje, jest czyste, żywe i szczere. Wreszcie i debiut p. Horvath w roli Henryki zaciekał, dzięki legendzie, że nowa artystka była uczennicą jeszcze Królikowskiego, a po jego śmierci (1886 r.) — p. Kotarbińskiego. Zapeliła się też sala i słuchała sztuki z zajęciem. P. Leszczyński przypominał sobie w roli Juliana młodsze swe lata. Co się zdarzyło w lepszej dobie życia, nie mogło być niezdarnem w obecnej; sporo jeszcze dobrego zostało w roli do tej chwili.

P. Irena Horvath ma ujmującą powierzchowność, twarz nawet piękną, wzrost, jak na kobietę, już wybitny, oko duże, wymowne, choć bez blasku, ruchy żywe, postać zgrabną, postawę dobrą, chód śmiały i wogóle teatralną odwagę. Znać odrzuca, że debutantka na scenie warszawskiej nie jest już debutantką na scenie wogóle; występowała też już w jakimś teatryku prowincjonalnym.

Henryka panny Horvath nie miała najważniejszego jej przymiotu: młodości. Głos debutantki o niskiej skali, nie posiada pożądanej gęstości, nie zdołał jeszcze wyrobić sobie tych regestrów uczuciowych i wrażeniowych, któremi artysta każdy rozporządzać musi tak, jakgdyby grał na organach, mając zawsze na zawołanie całą brzmienność i dźwięczność życia. Głos p. Horvath brzmiał jakoś staro; w około dźwięków nie było aureoli, która, jak światło, tak i głos otacza, wytworząc świetlną jego atmosferę. Siła w grze była jeszcze szorstką, nieokrzesaną; tkliwego, serdecznego wzruszenia nie było czuć w roli tak wielkiej, dającej wielostronną sposobność do uczuciowych objawów. W scenie powitania Juliana jako nowego rządcy w Laroque panna Horvath była zupełnie niepotrzebnie jakąś jędzą; w wielkiej scenie obrazu IV w ruinach głos jej grał na fałszywych regestrach, nie wychodził

z namiętnej głębi, nie odtwarzał nastrojów duszy żywej, ruchy zaś gwałtowne niepomierne, nieporządne, układały się w zarysy bez wdzięku. Niesmaczny też był ukłon przy przepraszaniu Juliana, niedobre podsuniecie ramienia panu de Bévallan, mającemu Henrykę poprowadzić. Wogóle chwastu dużo, bardzo dużo. Wyplenienie go może wprowadzić pracę — ale czy praca da to, co na czele moich uwag postawiłem, czy da młodość? W każdym razie potrzeba pracować, patrzeć, słuchać, myśleć, próbować, powtarzać: może się do czegoś dojdzie, co nie będzie już trzymało się skromnego poziomu użyteczności. Z owoców pracy pierwszy się ucieszę, gdy już będą.

Podobał się publiczności słuchającej *Ubogiego młodzieńca* p. Bolesławski w starym Laroque u. Na pochwałę artysty powiedzieć można, że brano go za Rapackiego. W samej rzeczy w tej niewielkiej roli, wymagającej tylko kunsztu scenicznego, p. Bolesławski zasłużył na poklask, bo sprawił wrażenie. Druga debutantka, młodzieńca panna Wiktorya Szymanowska jako wieśniaczka może być kiedyś artystką. Głos donośny, miły, ruchliwość wielka w postaci, swoboda zupełna, śmiałość nawet, z jaką to małenstwo patrzy na salę teatralną i nie myśli bynajmniej lękać się zaczajonego w niej smoka krytyki — pozwalają na dobre wróżby.

Mieliśmy i trzecią debutantkę: p. Maryą Paprocką. Ujrzelśmy ją na początek w roli Pawłowej w *Marcowym kawalerze*. Od tego ludzie starzy, żeby pamiętać rzeczy dawne. W tejsamej Pawłowej widywaliśmy jeszcze Bakałowiczową, przy obsadzie: Żółkowski — Ignacy, Chęciński — Heliodor. Starzy, pamiętamy, jak nieuznawana dostatecznie za życia przez zadzierającą nos do góry krytykę, znakomita artystka salę najpierw rozpromieniała swą wesołością, potem do łez wzruszała swym płaczem, a przez całą sztukę, — cieszyła wzrok wdziękiem swojego głosu, — czemuście go, młodzi, nie słyszeli! — twarzy, postaci, ruchów, bo wdzięk był jej duszą, był nerwem jej nerwu, stylem jej scenicznego stylu.

Gdy jako Ignacy obok takiej Pawłowej, jaką czarowała młodych i starych Bakałowiczowa, występował Żółkowski, który tej roli dla siebie wyraźnie się *dopomnił*; gdy pysznego pedanta literata grał Chęciński: gdy sztukę wzbogacał śpiew na nutę bardzo rzewnej melodii ludowej, nie śpiewany, ale wydzwaniany przez Bakałowiczową — może dzisiejsze pokolenie z oskumą tylko słuchać tych wspomnień czasów tak arytmetycznie jeszcze blizkich, ale duchowo tak już dalekich. Inni ludzie, inny świat. Dziś możeby publiczność hodowana w Teatrze Małym, Nowym, w teatrykach przeróżnych — wołała np. p. Zimajerową a może i p. Czosnowską, a może i pannę Grass — *Che lo sa?* Wówczas dopuszczano się kontrabandy: prowadzono córki dorosłe na sztukę, której niedorośle tylko bez obrazu Pana Boga słuchać mogą.

Sam Bliziński był jeszcze wówczas w Warszawie. Zawsze skromny, ale bynajmniej nie cichy — bo mówił dużo, lecz dobrze, — nie spodziewał się takiego powodzenia, jakie znalazł jego *Marcowy kawaler*. Miałem mu zawsze za złe, że ten taki miły, taki swojski, tak zręcznie *folklorem* wzbogacany obraz z życia — nazywał krotchwilą. Co tu za krotchwila? To rzeczywiście wesoła komedia, bo i ludzie prawdziwi, i stosunki między nimi prawdziwe, i wszystko prawdą oddycha; z Heliodora nawet nie zrobił autor manjaka, zapisującego przysłówia, choćby na podeszwach, ale mu dał i rozsadek i serce i uczucie etyczne i wolę i — uczynił go istotą żywą. A o tem, że oni oboje są jakby żywi — chyba nikt nie wątpi.

Na tło takich wspomnień rzucone wrażenia w grze pani Paprockiej dalekimi będą od uniesień. Tem lepiej dla nowej debutantki, że ze spokojem zupełnym można jej przyznać te przymioty, których w roli Pawłowej dowiodła. Przedewszystkiem pochwyciła ton właściwy i w psychologii i w głosie i w ruchach. Pawłowa mówiła tak, jak mówi lud na Kujawach, mówiła i ruszała się tak, jak mówi i rusza się wogóle kobieta z ludu, żywym obdarzona temperamentem. Barwa wypowiedzenia była dobrą, a najlepszą — wraz z ruchami, na dział których w tej roli bardzo wiele

przypada — w brawurze, jędrnej, dziarskiej, którą pani Paprocka oddawała z zupełnym zadowoleniem widzów. Rysy oblicza, nie dość ruchliwe, oko nieukształtowane tak, aby pięknem i wymownością wzroku uderzało, — nie dopomagały debutantce do gry, jaką samo pojęcie roli zarysowuje w obrazie Pawłowej. Momenta liryczne były znacznie słabsze od brawurowych a rozrzucone nie się w końcu sztuki — nie miało szczerzego ciepła. W ruchach bezwiednych ciągle trzymanie się pod bok — było już nadmiarem, nużącym, jak wszelka jednostajność. Publiczność przyjmowała debutantkę bardzo życzliwie.

Stanisław Krzeminski.

Wystawa w Chicago.

(Dokończenie).

Na budynki wystawowe wysiliła się fantazyja Amerykanów, ale nie stworzyła prawie nic, coby pięknem nazwać można. Styl wspólny wiekowi całemu, jedyny oryginalny, własny styl XIX-go w. w budownictwie — halla *alias* szopa — panujący i w dworcach kolei żelaznych i w budynkach wystaw powszechnych i niepowszechnych, powtarza się tutaj z małemi odmianami, jakie na nałogu architektonicznym amerykańskim zaszezepiła pomysłowość indywidualna artystów. Od dawniejszych wystaw nowa różni się będzie wspaniałością swego biura, domu administracyjnego. Budynek ten jest najokazalszym ze wszystkich i ponad wszystkie inne dumnie czoło swoje wynosi. Złożony z czterech pawilonów w stylu jońskim, zbiegających się w rotundzie, ma ten kolos nakrycie z wielkiej kopuły, sięgającej do osmdziesięciu metrów nad poziom, o łuku trzydziesto-sześciometrowym. Wokoło rotundy wewnątrz biegnie galeria prowadząca do biur. Płaskie dachy pawilonów połączonych z sobą galerią zewnętrzną, zakreślona o wielkim promieniu, służyć będą za miejsca przechadzki. Do rotundy prowadzi pyszny wjazd, szeroki na 28 metrów. Całość ciężka, przeładowana ozdobami wygląda zdaleka, jak kościół typu panteońskiego.

Pałac rolnictwa jest parterowy z piętrzącemi się nad sobą w głębi, ku środkowi, dachami. Ośm portyków prowadzi do wnętrza, po jednym w rogach i po jednym w środku boków olbrzymiego kwadratu. Są one mile dla oka, a trzymają się gotowych już wzorów francuzkich, naśladowanych i nieraz mimowoli przedrzeźniających Rzym. Na obszar jest to budynek ze wszystkich największy: zajmuje 12 hektarów a kosztuje półtora miliona dolarów. Na przeciwko tego pałacu znajduje się pałac rolnictwa, z udatną kolumnadą na czele budynku. Całą część przednią przeznaczył komitet na narady dla rolników. Jest tu miejsca tak wiele, że widocznie liczą panowie komitetowi na wielką ochoczość rozumu rolniczego do rozpraw. Z prawej strony (od gmachu), dotyka do tego pałacu pięć hal przeznaczonych na wystawę leśną.

Wielkością najbardziej zbliża się do szopy przemysłu szopa maszyn, wystawiona według utartego typu, ale mająca na przodzie dostawiony kościół z attyką i dwiema wieżami. Naprzeciwko niej wznoszą się budynki oddzielne dla górnictwa i metalurgii i dla przemysłu i mechaniki elektrycznej — oba ozdobne, drugi z dziesięcioma aż wieżami, nieładny. Gmach przeznaczony na oryginalną, systematycznie urządzoną wystawę środków komunikacyjnych, w stylu romańskim, odznacza się nieharmonijnością współzawodniczącą z ogromem. Prowadzi do niego wejście rzucające się w oczy ociężałym przepychem, a nazwane „Złotą Bramą“. Za pałacem komunikacji ciągnie się długi budynek parterowy, bez pretensyi, ale i bez wybryków niesmacznych, przeznaczony dla ogrodnictwa. Pod ogromną jego kopułą wzbijać się będą

w górę palmy i inne egzotyczne dla nas drzewa, a wspaniała australijska *Victoria regia* postanowiła uwodzić wzrok ciekawych ogromem i urokiem kwiatowego swego majestatu. Do ogrzewania i przewietrzania tego lokalu roślin urządzono cały systemat rur, tak długich i licznych, że gdyby je w jedną linią prostą wyciągnąć, zajęłyby półtrzęciej mili naszej.

Ulica tylko oddziela pałac ogrodnictwa od pałacu pracy kobiecej. Jest tu rzeczywista praca kobieca. Z wyjątkiem grubej roboty fizycznej przy wznoszeniu murów i w ogóle przy budowie, wszystko tu, zaczawszy od planu budynku i rozumie urządzającego wystawę, aż do najdrobniejszego przedmiotu okazanego oku, będzie miało za źródło swoje siłę, energią, wiedzę, umiejętność, zręczność i zmysł artystyczny kobiety. Nie będzie to cześć popis, na jakie patrzymy nieraz u siebie, na skromnych naszych wystawach, gdy nagrodę za pracę otrzymuje ten, kto wcale nie pracował, lecz tylko znalazł się w tem szczęśliwym położeniu, że za niego pracować musiał ktoś inny, a on dał mu tylko swą firmę, unurzał go w niej i zatopił—i figurując jako rzeczywiście zasłużony, bierze nagrodę jedną za drugą, choć nie wie za co, bo nie wie nawet dobrze, co pod jego imieniem na wystawę posłano. Tak nie będzie w Chicago. Wystawa pracy kobiecej rzeczywiście pokaże tę pracę nie sfalszowaną, tak materyjalną jak moralną, społeczną, w dziełach miłosierdzia, oświaty i czynu. Na czele komitetu tego działu stoi pani Palmer, żona prezydenta wystawy, a w składzie komitetu niema ani jednego mężczyzny. Kobiety same sobie radzą, same o sobie myślą na całym wielkim obszarze Unii. Plan budynku—wcale udany—odznaczający się skromnością, czysty w rysach, wyszedł spod ręki pani Zofii Hayden, która pobiła mężczyzn. Taka wystawa ma prawo nazywać się kobiecą.

Własne swoje pałace dla wszelkich już wyrobów mają Stan Illinois i sam związek wszystkich czterdziestu czterech Stanów, wchodzących dziś w skład wielkiej rzeczypospolitej. Budynek Stanu ma ładną kopułę, przypominającą S-go Pawła. Naprzeciwko, oddzielony wodą, stoi budynek sztuk pięknych, bardzo obszerny, z kształtną attyką w środku. Znajduje się on już na krańcu wystawy, bliżej miasta. Pomiędzy pałacami Illinois a Związku, na wyspie z ogrodem, urządzono wystawę rybołówstwa, ze zbiornikami, zadziwiającymi praktycznością urządzenia. Od tego oddziału most prowadzi do pałacu związkowego, który wychodzi jednym bokiem swego czworogranu na pałac przemysłowy i razem z nim zajmuje osobną wyspę. Nawprost niego wznosi się latarnia morska, już nad samym jeziorem Michigan. Na umyślnie rzucanej tamie przy pomienionej wyspie urządzono wystawę morską.

W przeciwniejszej stronie pałacu sztuk pięknych ciągną się długimi liniami szopy dla zwierząt, za nimi tartaki i mleczarnie. W tej stronie również—w sąsiedztwie niezupełnie odpowiednim dla inteligencji—znajduje się obszerna halla na zebrania, a za nią dwoma ramionami wchodzący w pałac machin i w pałac rolnictwa przybytek narad, dom kongressów. Poza pałacem administracyjnym, mającym naprawo dom machin, nalewo dom elektryczności, a za nim w jednym rzędzie dom metalurgii, na krańcu obszaru wystawowego, znajduje się dworzec kolei żelaznej.

Cała wystawa rozrzuconą jest po wyspach, półwyspach i wybrzeżach, wytworzonych przy pomocy wód jeziora michigańskiego. Ogrody, wirydarze, kępy drzew—wdzięcznie odbijają się w powierzchni kanałów wraz z samymi budynkami i przynosząc orzeźwienie, wzbogacają krajobrazowe wrażenia oka. Dwa podłużne basseny, wdzięcznie zaokrąglone, ciągną się pomiędzy pałacami rolnictwa, przemysłu, machin i elektryczności, a jeden z nich, długi na kilometr, biegnący ku jezioru od pałacu administracyjnego, urządzony jest ze smakiem i z pewnym charakterem monumentalnym. W rogu wychodzącym na pałac stanie fontanna, symbolizująca sławę odkrycia Ameryki. Jest to dzieło młodego rzeźbiarza, kształcącego się w Paryżu u Falguière'a, niejakiego Mac Monnies, Amerykanina. W rogu przeciwnym wznosi się wielki posąg rzeczypospolitej, a za nim, już na lądzie,

jakby na półwyspie wbiegającym w jezioro, trzynastie kolumn weneckich, bardzo ładnych, z figurami alegorycznymi, na pamiątkę trzynastu Stanów, które w r. 1776 zawarły między sobą akt wiecznego braterstwa i jedności politycznej. Z boku tego półwyspu wychodzi długa tama, w końcu, wśród pełnych już wód jeziora, rozszerzająca się w plac zajęty przez restaurację i miejsca wypoczynku. Panuje nad nimi kilkopiętrowa wieża. Wszystkich restauracji i kawiarni ma być na obszarze wystawy—sto pięćdziesiąt.

Ogólna liczba pałaców, pawilonów i hall dochodzi do osmdziesięciu, a koszt wzniesienia ich wyniósł już dotychczas przed ostatecznem jeszcze wykonaniem półosma miliona dolarów. Gdy wystawa żyć już zacznie, do oświetlenia jej potrzeba będzie 140.000 lamp elektrycznych, na które pracować musi 22.000 koni parowych! Dnia 12 Października ma komitet naczelny przyjąć budynki z rąk przedsiębiorców i zaraz potem rozpocznie się zwożenie i ustawianie okazów, a dnia 1 Maja 1893 roku — wystawa będzie już otwartą. Nie potrzeba wieży Morisona, którą chcieli prześięgnąć Francuzów—ale dano gonitwie pokój; nie potrzeba srebrnego pałacu, — który wzniesie miano ze srebra nagromadzonego na obszarze Unii w bryłach i sztabach; obyłoby się i bez globu ziemskiego — z wnętrzem gastronomicznem: wystawa w Chicago i bez tego wszystkiego byłaby i będzie zabawą olbrzymów, widzeniem czarodziejkiem.

OLBRZYMI TELESKOP.

Niezadowolony jeszcze z tego, co ma, człowiek chce mieć ciągle coraz więcej. Teleskop dzisiejszy nie wystarcza już dzisiejszej żądzy; największy nawet, w Górach Skalistych, wydaje się jeszcze małym. Myśl niespokojna krążyła się około nowego przyrządu, któryby zbliżając księżyc do oka, nawet dwóm metrom jego powierzchnię ukryć się przed nim nie pozwolił. Zbudować go podejmuje się rozum i wola francuzka. P. Franciszek Deloncle, deputowany z departamentu Niższych Pirenejów, odbył na początku Września r. b. w gmachu Obserwatorium paryżkiego naradę z p. p. Henry, adjunktami głównego astronoma Janssen'a, z dwoma architektami i p. Gautier'em, optykiem, a z narady tej wyszedł olbrzymi teleskop jako ideał, do którego dążyć rozumnie można, — można i potrzeba.

Pierwszą myśl zbudowania teleskopu większego od wszystkich dotychczasowych powziął p. Deloncle jeszcze w r. 1889, podczas wystawy paryżkiej. Obecnie, po naradzie, ukształtowała się ona w zamiar zbudowania przyrządu, któryby na długość miał wymiar kolumny Vendôme. Jego reflektor, wielkie zwierciadło teleskopowe, będzie gruby w środku na pół metra, przy brzegach na 14 milimetrów, ze średnicą dochodzącą aż do trzech metrów. W największym z wykonanych dotychczas teleskopów szkło wielkiej soczewki waży zaledwie 600 kilogramów. W marzeniu Deloncle'a szkło ma wagę piętnaście razy większą; waży dziewięć tysięcy kilogramów, czyli dziewięć ton metrycznych. Koszta budowy obliczono w przybliżeniu na półtrzęcia miliona franków.

Największą trudność przedstawia odlanie szkła tak niesłychanych rozmiarów. Najznakomitsza pracownia szkła naukowych, znana na cały świat, istniejąca w Saint-Gobain, będzie miała powierzony sobie to zaszczytne zadanie, od którego rozwiązaniu zależy rzeczywistnienie śmiałego, zuchwale wyglądającego pomysłu. Jeżeli odlanie szkła ostatecznie się uda, przyszedł już wystawa paryżka, postanowiona przez obie Izby prawodawcze i rząd na ostatni rok bieżącego wieku — a mająca rozpostrzeć się po Lasku Bulońskim, — będzie już mogła pochwalić się nim przed światem. Ale to *udanie się* właśnie wzbudza silne wątpliwości i w optykach

i w technikach przemysłowych. Kto pamięta mozolne trudy,łożone przez całe lata na odlanie zupełnie czystego szkła do wielkiego teleskopu amerykańskiego, — ten niedowierzaniem wita nadzieję żywioną przez Deloncle'a i popierających jego zamiar uczonych i techników.

Wielkie rozmiary szkła głównego przyjmującego obrazy zzewnątrz zmuszają i do nadania ogromnej odległości ogniskom teleskopu. Obliczono ją naukowo na czterdzieści metrów, o trzynastcie metrów więcej od wysokości całego obserwatorium astronomicznego w Paryżu. W budowie samego dalekovidza trzymać się postanowiono pierwotnej, niutonowskiej jeszcze formy, uważając ją za najlepszą, najprostszą i najdokładniejszą zarazem — przy uwzględnieniu niezbędnych tylko poprawek, jakie wprowadził Leon Foucault. Niezmiernie silny i wymagający umiejętnego urządzenia mechanizm do poruszania teleskopu jest już obecnie przedmiotem pracowitych studyów i planów. Oddaje się im p. Gautier, znany we Francji i ceniony jako optyk-konstruktor.

Zdaniem obu astronomów popierających pomysł p. Deloncle'a, teleskopu nie potrzeba będzie osadzać wysoko nad poziomem ziemi. Sama jego wielkość wynagradzać ma straty na świetle ponoszone wskutek mniejszej czystości powietrza na nizinach. Olbrzymie szkło wchłaniać w siebie będzie cztery razy więcej światła, niż największy dotychczasowy teleskop znany pod imieniem Commonsa, o półtorametrowej średnicy. Dzięki temu będzie mogło oko badacza w wędrówkach po niebie odkrywać gwiazdy cztery kroć mniej światła dające od najmniejszych dziś dostrzeganych. Powiększenie przy *maximum* pomyślnych warunków, przy największym nateżeniu odpowiednich środków, dojdzie do 15.000 razy. W tarczę księżyca wpatrywać się będzie można z zupełną swobodą, tak, iż ani jeden dwumetrowy plątek powierzchni nie przepadnie dla wzroku.

Ale wszystko to istnieje dopiero w rachunku, w teorii, w pogodnej przezroczystej atmosferze umysłowości. Gdy się ideał jej w rzeczywistość wcielić zacznie, wystąpią zaraz chmury, w drodze staną przeszkody, skazy zrysuja czyste zwierciadło myśli. Uczeni, przyjmując nawet wielką soczewkę trzymetrową za wykonalną, za już wykonaną, kładą wielki znak zapytania przy twierdzeniu pp. Henry, że teleskop powiększać będzie mógł 15.000 razy. Na nizinach będzie to — według p. Loewy, pomocnika dyrektora obserwatorium paryżkiego, ideał niedościgły. Jeżeli dotychczas, przy najpomyślniejszych warunkach atmosferycznych, w Paryżu osiągnano na teleskopie największym powiększenie 1:1.500; na nowym osiągnąć będzie można tylko powiększenie 1:3.000, zatem pięć razy mniejsze od obliczonego w teorii, a obliczonego dobrze, jak sam p. Loewy przyznaje. Astronom ten ogranicza również skuteczność aprioryczną zwierciadła nowego teleskopu i w miejsce twierdzenia, że żadna dwumetrowa cząstka powierzchni księżyca nie ujdzie przed wzrokiem ludzkim, stawia inne, skromniejsze: bryła równająca się massie murów Notre-Dame będzie dla patrzącego oka punktem wybijającym się z tła tarczy księżycowej, a istota żywa, wielkości człowieka, przedstawiłaby się mogła, tylko jako drobniejszy od punktu atom.

Z opinii p. Loewego, popartej przez dyrektorów dostrzegalni w Londynie i w Bruxelli, wynika to mniemanie, mające w sobie znamiona pewności, że dzielność projektowanego przyrządu, w stopniu zamierzonym i przez rachunek teoretyczny wykazanym — nie da się osiągnąć w razie umieszczenia teleskopu na poziomie Paryża i w ogóle na przeciętnym poziomie ładu. Potrzeba nawet pójść dalej i postawić twierdzenie, że nawet na wysokościach znacznie nad poziom wyniesionych rzeczywiście dzielność pozostanie w tyle za rachunkiem. Powietrze ziemskie zawsze swoje mgły, opary, całą materyjalność swoją — wprowadzać będzie do funkcji patrzącego oka i odbijającego prętwor szkła. Ale jaki ztąd wypływa wniosek, jaki nakaz dla twórców projektu? Oto wyrzec się zamiaru zabawiania gawiedzi wystawowej w Lasku Bulońskim w roku 1900, a pozostać przy zamiarze zbudowania teleskopu wyłącznie tylko dla astronomii i umieszczenia go w wyższej stre-

fie powietrznej, np. na jakim szczycie Sewennów, Pyreneyów, Alp Sabaudzkich lub Morskich. Punkt z czystym niebem znajdzie się niezawodnie. Wzrosną (gromnie kosztą sprowadzenia i ustawienia przyrządu, ciekawość ludzka nie zwróci części nakładów—ale gdy się już na półtrzecia miliona franków odważyło, potrzebny jeszcze choćby nawet milion da się pozyskać, przytrzymać i użyć na wzniosły cel nauki i umiejętności.

Z bieżącej chwili.

— Dzienniki petersburskie donoszą o zamiarze ogłoszenia wielkiej loteryi na sumę trzech milionów rubli. Dochód z loteryi przeznaczonym został na budowę konserwatorium w Petersburgu.

— Oplata szkolna została z rozporządzenia odnośnej władzy podniesiona z rozpoczęciem roku szkolnego: w pierwszym progymnazjum męzkim do rs. 45 we wszystkich klassach, w czwartym gymnazjum męzkim do rs. 50 w klassie przygotowawczej.

— Towarzystwo ostrożności zawiązało się na Pradze z celem ścisłego wykonywania przepisów lekarskich co do strzeżenia się przed epidemią. Stowarzyszeni opłacają wspólnie lekarza, udzielającego tu rad potrzebnych, wspólnym kosztem urządzili aptekę domową i zobowiązali się wzajemnie nie używać pokarmów mogących źle oddziaływać na stan zdrowia. Do grona stowarzyszonych należą posiadacze nieruchomości, rzemieślnicy i oficjaliści kolejowi.

— Warszawskie Towarzystwo Dobroczynności wypłaciło 145 rs. właścicielom aptek na bezpłatne dostarczanie ubogim lekarstw.

— Wystawa gospodarczo-spożywcza, którą ma otworzyć w mieście nasze pewne grono filantropów, nie ma nie wspólnego z projektowaną przed paru laty i niedosłą do skutku wystawą cechu kucharskiego. Wystawa wspomniana już przez pisma nasze, łączy w sobie dział gospodarski, a wzoruje się na programie wystawy odbytej w 1886 r. na rzecz Towarzystwa Dobroczynności.

— Spółka nabiałowa utworzyła się w Warszawie, mając na czele swoim p. Ch. z Woli. Spółka zamierza otworzyć w Warszawie, w punktach jej różnych, dwanaście sklepów z własnymi oborami, które wydawać będą wprost świeże mleko. Prócz tego posłańcy roznosić je będą po domach na żądanie. Spółka rozpocznie działalność swoją w Marcu.

— D. 24-go b. m. otworzony został na Rybakach, Nr 17, przytułek noclegowy dla 210 osób a w tej liczbie 40 miejsc przeznaczonych dla kobiet; także przy ulicy Olszowej Nr 8, urządzono przytułek wyłącznie dla kobiet, mieścić mogący osób 70. Oplata za nocleg gr. 8, za to otrzymuje się jeszcze kubek osłodzonej herbaty i funt chleba żytniego, lub półfunta półbiałego chleba. W Przytulku nie dostaje się wcale pościeli.

— Warszawska kassa oszczędności wydała w ciągu tygodnia między d. 12 a 19 Września 139 nowych książeczek. W tymże czasie wniesiono 442 wkładów na sumę 17.756 rs. Na żądanie właścicieli książeczek wydano 13.225 rs., zniszczono zaś książeczek 101. Ogólna liczba książeczek wynosiła 41.858, a złożone oszczędności 1.326.499 rs.

— Próby oświetlenia elektrycznego, dokonane obecnie w Teatrze Rozmaitości, okazały się bardzo zadawalniającymi. Tak widownia, jak scena, mają dość dobrze rozporządzonego światła, lampki elektryczne umieszczone na parapetach łóż, oświetlają je bardzo efektownie. Oświetlenie elektryczne ma być zaprowadzone w Częstochowie; zarząd miasta zawarł już umowę z inżynierem Łaskim, przyczem kosztą zostały obliczone na 18.000 rs., którą-to sumę postanowili złożyć niemal w całości obywatele miasta. Warsztaty mechaniczne kolei wiedeńskiej otrzymają również oświetlenie elektryczne; w jednej z większych remiz warsztatowych już się pali obecnie 35 lamp żarowych.

— Roboty koło przebudowy kościoła Ś-go Karola na cmentarzu powązkowskim posuwają się szybko i kopuła z krzyżem żelaznym wznosi się już ponad rusztowanie, przecież nabożeństwo odprawiać się jeszcze musi w kaplicy pogrzebowej.

— Rzeźbiarz Syrewicz wykonał ozdobny pomnik ścienny dla ś. p. Jana Karnkowskiego, mający się mieścić w kościele parafialnym w Karnkowie. Jest on z czerwonego marmuru, będzie pięknie ornamentowany.

— Malarz Żmurko, posiadający pracownię przy ulicy Senatorskiej, urządził sobie obok tego drugą w ogrodzie za rogatkami belwederskimi.

— Towarzystwo Osad Rolnych i Przytułków Rzemieślniczych postanowiło pomieścić w kościele w Sobieszynie tablicę pamiątkową dla ś. p. Kajtana hr. Kickiego, który ostatnią wolą swoją uczynił Towarzystwo spadkobiercą swoim. Tablica będzie wykonana według planu budowniczego Zygmunta Kiślańskiego, w stylu odpowiadającym wielkiemu ołtarzowi, t. j. w stylu ostrołuku florenckiego. Tablica będzie umieszczona w jednej ze ścian presbyterium.

— Wielki zegar dwutarczowy, znajdujący się w głównej bibliotece warszawskiego uniwersytetu, będzie umieszczonym w czytelni nowowzniesionego gmachu. Zegar ten, bardzo wielkich rozmiarów, wykonany został przez zegarmistrza Guzmusa. Według „Historii Przemysłu“ J. Kołaczewskiego, kosztował on w swoim czasie władzę szkolną 5.400 rs.

— Zarząd Narodowego Teatru w Pradze „Narodni Divadlo“ wniósł do sejmu krajowego prośbę o zasiłek, któryby pokrył kosztą przedstawień czeskich na wystawie w Wiedniu.

— Na wystawie Kolumba w Madrycie Kraków jest także reprezentowanym. Został on w swoim czasie zaproszonym do wzięcia tu udziału; przysłano je Akademii Umiejętności, jak w ogóle wszystkim wyższym instytucjom naukowym. Akademia posiada zbiór starożytności, przywiezionych przed laty przez ś. p. Klugera z Ameryki Południowej. Jenerałny sekretarz akademii, prof. Smolka zajął się starannie wysłaniem dwóch dużych pak, zawierających te przedmioty, które stanowią jeden z ważniejszych działów wystawy Kolumba w Madrycie, budząc wielkie zajęcie znawców. Kraków dostarczył 101 przedmiotów starożytności peruwiańskich, a są tu: mumie, zabytki ceramiki, tkaniny wielce oryginalne; znaczna liczba tych wyrobów przemysłu domowego, tak rodzajem, jak typem swoim, należy też do osobliwości i daje obraz kultury peruwiańskiej w czasach odległych.

— Jubileusz najznakomitszego z powieściopisarzy węgierskich, który, biorąc nawet bezwzględnie, przedstawia się jako wielki i niepospolity talent pisarski—jubileusz pięćdziesięcioletniej pracy literackiej Maurycego Jokaja, wywołał myśl bardzo szlachetnej instytucji w zakresie pomocy literackiej. Jeden z magnatów węgierskich oświad-

czył w sejmie krajowym chęć ofiarowania 150.000 zł. reń. i pięknej willi na dożywotnie utrzymanie najbardziej utalentowanego powieściopisarza węgierskiego, któryby wtedy, nie troszcząc się o nie, czem życie powszednie przytłacza ludzi, mógł oddać się całej literackiej pracy swojej. Wyboru ma dokonać komplet, złożony z dwóch delegatów akademii peszteńskiej, oraz z dwóch reprezentantów stowarzyszenia Petöfiego i dwóch reprezentantów stowarzyszenia Kisfaludego, wreszcie z dwóch największych księgarzy-wydawców. Fundacya ta, zapewniająca wybranemu stypendyscie 7.000 zł. reń. rocznego dochodu, dawałaby mu potrzebny przy pracy literackiej tworzenia spokój i dobrobyt, w tych właśnie czasach, kiedy młodość pragnęła wzlatać nad poziomy bywa ciężarem trosk życia powszedniego ściągana na dół. Jokaj, obecnie człowiek zamożny, posiadający pałacyk z pięknym ogrodem w Pesztocie, jest jeszcze właścicielem znacznej posiadłości ziemskiej nad jeziorem Balaton. Nie było tak przecież za lat jego młodości, jednak wśród ciężkich nieraz przejść życia napisał 300 tomów. Od tego przecież jest talent, aby umiał podnosić się nad powszednie życia troski.

— Podziemny kanał, mający dać ujście fałom wodospadu Niagary, będzie wkrótce dziełem spełnionem—skała granitowa, która przez wieki stawiała wodom tym zaporę, zostanie wkrótce przewierconą na długość 6.000 stóp. Trzeba przecież jeszcze rozsądzić 1.000 stóp granitu, pracuje też nieustannie nad dokonaniem olbrzymiego dzieła 800 ludzi, podzielonych na dwa oddziały, z których jeden zajęty jest w dzień, drugi w noc. Rozsadzanie skał, dokonywujące się ciągle i stale zużywa na dobę 1.400 funtów dynamitu, dostarczanego tu w stanie zamrożonym i przechowywanego w magazynach, na ten cel zdawanych. W budynku osobnym, oddalonym od zabudowań i obozowiska ludzi, odmrażają go zapomocą ciepłej wody. Kanał mający odprowadzać wody obecnego wodospadu jest szerokim przeszło na sto stóp; woda stać w nim będzie na 12 stóp głęboko.

OD WYDAWCY.

„Bluszczy“ w przyszłym kwartale wychodzić będzie pod dotychczasową redakcją.

Szanownym prenumeratorom z prowincyi przypominamy wczesne wznowienie prenumeraty, dla uniknięcia zwłoki w przesyłce numerów.

Do dzisiejszego numeru „Bluszczy“ dołącza się: Arkusz 7 tomu II-go powieści pod tytułem **Złudzenie i rzeczywistość**, przez Beatrycę Whitby. Przekład z angielskiego.

TREŚĆ: Dr Józef Starkman.—Maniak, charakterystyka (dalszy ciąg). — List z Włoch, przez Augusta.— Dział pracy kobiecej na wystawie Wszechświatowej w Chicago. — Przegląd teatralny, przez Stanisława Krzemińskiego.—Wystawa w Chicago (dokończenie).—Nowy teleskop.—Z bieżącej chwili.

Dodatek obejmuje: Arkusz 7-my tomu II-go powieści pod tytułem **Złudzenie i rzeczywistość** przez Beatrycę Whitby. Przekład z angielskiego. Przegląd mód. 42 wzorów i robót z opisem.—Sekreta gospodarskie.—Dyspozycja stołu.

Warszawa.—W Drukarni i Litografii S. Orgelbranda Synów, Krakowskie-Przedmieście Nr. 66.

Дозволено Цензурою. — Варшава, 16 Сентября 1892 г.

Redaktor odpowiedzialny Michał Glücksberg